

# Poezja

**Aleksandra Rzakowska  
(godło: MOON)  
I Liceum Ogólnokształcące im. Ziemi Kujawskiej  
we Włocławku**

**Dni starców**

Moja babcia nie znosi dnia babci  
Bo też za co ma go uwielbiać?  
Śmieje się słodkie życzenia  
W nadziei na kilka papierków  
Składacie z okazji dnia gorzkiej staruszki  
Zagubionej w litaniach  
Która przecież woli surfować po falach  
I nauczyć się włączać komputer

Moja babcia nie znosi śpiewania sto lat  
Bo po co ta ironia?  
Co za radość przykucie do łóżka  
Ciało jak z papieru  
Umysł w kajdankach  
I zaszyte usta

Moja babcia uwielbia  
Tylko pierwszy czerwca  
Nazywają ją ignorantką  
Bo pomija wszystkie wnuczeta  
Wyrzuca wszystkie kremy i różańce  
Kręci się w piwnicy i śpiewa  
Nim obróci się w popiół  
Obraca życie w żart  
Na chwilę zamiast dymu  
Puszcza bańki mydlane

## Po dorosłemu

Wyrzucili nas na czerwonych światłach  
Wręczyli osiemnaście drogowskazów  
Wskazywały tylko drogie sklepy  
Po nic nam to było  
Czas był naszym jedynym pieniądzem

Dali parę fortepianów  
I gitar z wyrwanymi strunami  
Żebyśmy wiecznie uczyli się stroić  
Nie tylko w żałobne (na)stroje  
Po nic nam to było  
Jeżeli graliśmy to tylko na zwłokę

Uparte czekanie stało się  
Jedynym ich oczekiwaniem  
Głowa wyskoczyła z karku  
Dusza wskoczyła na ramię  
Ze starych zabaw nie wyrośliśmy  
Po pustych kątach szukamy wolności  
I po nocach spadających gwiazd  
Wysyłamy sobie sami róże  
I my podobno dorośli

## **Bezdomność wysoce funkcjonalna**

pewnie nie uwierzycie ale istnieją bezdomni  
w rezydencjach z basenami  
toaletami wysadzanymi diamentami  
i złotymi sztućcami  
tylko chowają się za ciemnymi roletami  
żeby nie zapeszać

będziecie się śmiać ale nie różnią się niczym  
od starych dobrych żuli spod biedronki  
razem szukają petów na chodnikach  
bo przecież kupowanie jest już passé  
tylko obserwujcie uważnie  
bo dworce nie służą im do spania tylko  
wiecznego czekania na ten właściwy pociąg  
zawiezie ich tam gdzie narodzą się na nowo  
mógłby się nawet nie zatrzymywać  
i chociaż nie błagają o drobne i odprowadzanie  
wózków to cicho marzą  
żebyśmy czasem ich odprowadzili  
i dali drobne uściski

pewnie już wam żal ale nie ma powodu  
to najlepsi architekci wnętrz bez wykształcenia  
i wytchnienia projektują to co już macie  
specjaliści od połamanych domów  
tych co ściany zdobią ramki bez zdjęć  
bez wrzasków pisków łez  
z muchą jako pełnoprawnym domownikiem  
i jednym zawsze umyтым talerzem

**Maciej Henryk Modzelewski,  
(godło: Dzierzba)  
Uniwersytet Warszawski**

**codziennosc**

zbiera okruchy porannej kawy popijanej pospiesznie  
sparzenia ust  
zamyślenia  
odgania złe myśli ręką ze starannie przyciętymi paznokciami  
głaszcze jej profil który został w lustrze

ściany ściskają go coraz bardziej  
dlatego ucieka  
a zieleń w żółć coraz bardziej się zmienia  
i skrwawia codzienne przedmioty

spieszy się czas  
tyka kolorem dojrzewających liści  
rozpada się kolejne puste gniazdo  
pozory błakają się w głowie  
pragnienia wyłażą poza garnitur i dyplomatkę

dziś znowu samotnie zje kolację

**Koncha**

Grudka jantaru z zatopionym szumem ciężkich fal – ciepła i miodna.  
Spojrzenia rybaków spadają na kobietę  
o bosych stopach. Wyciągnięte  
łódki ryją piach.  
Nadęte, pyszne

Meduzy. Sieci wyciągnięte na brzeg cuchną morzem i rybami  
Furkoczą para opalonych dziewczyn, na morze składają się lśnienia.  
Cienie wylegają się na plaży, pożerają bursztynowość.  
Koncha –

dałem ci ją na szczęście. Stałość materii jak stałość nas,  
gdy buszowało wokół powietrze  
spragnione ozonu, rozwarstwione, szczękające zębami pioruna.  
Obśliniały

przestrzeń spadające na nas jęzory. Drżały chwile i nasze dłonie.  
Płaszcz wody kulil świat. Alabastrowiała koncha w uścisku.  
Onegdaj byliśmy tu razem. Zarosły mułem nasze  
Twarze.

## **Nadzieja**

Ciemny dzień wlecze się pustką połyka kontury domów i drzew  
Poskręcane ciernie  
Kłują  
Siność obleka materię świata

Zagnieżdziła się we mnie słabość  
Znowu czuję w sercu zagniecenia

Ty dajesz mi myśli które na przekór wszystkiemu świecą  
Anioły powietrzne malują skrzydłami  
Kręgi

Stygnie dzień  
Szarość studzi głosy ptaków przytulonych w gnieździe

Otwiera się nadzieja

**Ewelina Pewniak**

**(godło: Lia)**

**Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny  
Królowej Polski i Św. O. Pio w Tomaszowie Mazowieckim**

### **Teatr porcelanowych dusz**

zapraszamy państwa,  
tragedia w trzech aktach  
bilety sprzedane po wysokiej cenie  
prawdziwa tragedia oparta na faktach  
kurtyna w górę, kurz tańczył na scenie  
wśród kurzu stała laleczka w peruce  
widoczna w całej luksusowej sali  
grała główną postać w tej tandetnej sztuce  
widzowie w rytm jej agonii podrygiwali  
na początku spektaklu ledwo stać umiała  
bo delikatne i kruche jej porcelanowe nogi  
widownia z podziwu aż oniemiała  
i wiwat się zaczął, wiwat głośny i srogi  
wśród tych okrzyków słychać było trzaski  
coś na wzór łamanych kości  
spotęgowały się ogromne oklaski  
na twarzach widzów uśmiech zagościł  
od ich ekscytacji aż drgały krzesła  
a laleczce krwawiła podcięta żyła  
z lekkością na biały schodek weszła  
i ze sznurem na szyi wdzięcznie skończyła  
zawisła na scenie, nowy akt się zaczyna  
widzowie płaczą różnej będąc woli  
bo kim była dla nich ta obca dziewczyna?  
smutek jest bardziej fałszywy od roli  
nagle zrobiło się ciemno, rozpoczęto owacje  
i końca nie miały szaleńcze oklaski  
przerodziły się w krzyk, w bezmyślne libacje  
w gnijące ciało trupa trafiały fleszy blaski

opadła kurtyna, spektakl zakończony  
nie odpowiadał gustom, nie odpowiadał smakom  
i stało się jedno, śmierć weszła na salony  
a bilety na część drugą wyrzucono  
rozdano biedakom

### **Zmysłowy dotyk**

objął mój umysł

moją talię

moje biodra

sięgnął ku nerkom

ku wątrobie

siedząc tak

zaczynam powoli kochać

jak mnie dotyka

rak złośliwy z przerzutami



## Lolita premium

Pani miała do życia żal  
ubrała wielkie futro i satynowy szal  
na nogi włożyła czerwone lakierki  
sypnęła tytoniem ze starej tabakierki  
nałożyła róż na blade policzki  
na ręce włożyła białe rękawiczki  
cmoknęła, westchnęła i popatrzyła w lustro  
drzwi otworzyła - a za drzwiami pusto  
prześliczna panienska chciała iść na bal  
do dziś ma na szyi satynowy szal  
smutna ją spotkała dola  
i wisi na szalu zamiast żyrandola  
twarz jej zbrzydła, nogi pobladły  
a na zimny marmur czerwone buty spadły

Nie było go w domu trzy, cztery dni  
przyjechał nareszcie i otwiera drzwi  
wchodzi do salonu, cygaretkę odpala  
patrzy w górę przez dym  
a tam panienska zwisa smętnie z szala  
widok upiorny, rodem z koszmarów  
za szalik zapłacił tysiąc dolarów  
już go nie sprzeda, bo nikt go nie kupi  
[to obrzydliwe nosić jad trupi]  
po domu biegały dwa młode spanielki  
i w pyszczkach nosiły czerwone pantofelki  
dorwał je wściekły, odebrał im bućki  
z bućków wyrwał czerwone brylanciki  
schował je szybko do szklanej szkatułki  
i zauważył, że list spada z półki  
w liście przeczytał tylko jedno zdanie  
„chcę trumnę premium skarbie, kochanie”  
zajrzał do portfela po kilku dniach rozpusty  
kochanka pusta i portfel też pusty  
usiadł przy stole, kurz z niego stał  
do rana pił bez przerwy

a następnie zmarł.

**Weronika Kowalska**  
**(godło: Styczniowe fajerwerki)**  
**II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

**Tajemnica**

Wiesz, że jest blisko,  
Gdy zimny wiatr zacznie z wolna  
Muskać Twe ramiona,  
A głos w gardle ugrzęźnie na dobre.  
Niczym ptak bez skrzydeł  
Uwięziony będziesz na ziemi.

Jednak tylko przez chwilę.

Serce zacznie bić walca,  
Oczy zaś zwrócą się ku Bogu.  
Będziesz chciał uciekać,  
Ale nogi,  
Nogi będą jak z gliny.

Będziesz chciał krzyczeć,  
Ale nie usłyszysz żadnego tonu.  
Korony z głów pospadają,  
Pieniądze zostaną w sejfach.  
Staniesz jak gdyby w dniu narodzin.

Nagi,  
Spragniony mleka życia,  
Które raz odebrane  
Nigdy nie powróci już do ciebie.

Jest tu, coraz bliżej.

Ubrana w noc najczarniejszą  
Ze srebrną gwiazdą u boku  
Połyskującą wściekle.  
Ta, której obawiamy się wszyscy.

Nie usłyszysz żadnych kroków,  
Nie wiesz kiedy przyjdzie.

Tajemnica spętana węzłami.

### **Róża dla Ciebie**

Nidy nie myślałam,  
Że poczuję coś  
Tak szybko,  
Bezmyślnie,  
Namiętnie  
I nieodwracalnie.

Nie wiedziałam,  
Że będę za Tobą wciąż chodziła myślami,  
W głębi oceanu widziała Twoje oczy,  
W słońcu budzącym się ze snu Twój uśmiech,  
Że będę  
W szemraniu wiatru słyszała Twój głos.

Nie wiedziałam,  
Ile będę musiała znosić  
Dziecinnych porywów serca,  
Jak długo będę siedziała zamknięta  
W tych żelaznych ścianach,  
Jak bardzo będę potrzebowała  
Muśnięcia Twoich opuszków po moim ciele.

Na cóż mi było to uczucie?  
Piękna wiązanka kwiatów pełnych cierni.  
Łatwo się ukłuć.  
Gdzież ten romantyzm?  
Porzućcie nadzieje!  
On już zginął dawno temu,  
Pozostawiając po sobie jedynie kartkę  
Z napisem „rozczarowanie”.

Bowiem jak wszystko ma swój  
Koniec i początek,  
Tak miłość trwa wiecznie.  
A z miłością wraz za ręce  
Trzymają się  
Tęsknota i cierpienie.

## **Ulica**

Ulica ta nie posiada kolorów,  
Szary jest chlebem powszednim.  
Zapach stęchlizny,  
Brud szlaja się dookoła.  
Ludzie jak mrówki  
Podążają jeden za drugim.  
Kim są?  
Ludźmi straconymi,  
Zagubionymi.  
Egoistami.

Na tej ulicy  
Brudne koce porozstawiano  
Dla ludzi głodnych.  
Żywią się oni innymi.  
Czyż to nie kanibalizm?  
Potrafią pożreć w całości,  
Pozostawiając jedynie  
Resztki kości,  
Resztki godności,  
Resztkę duszy przyczepionej  
Do gnijącego ciała.

To tą ulicą  
Przechodzą ludzie wierzący.  
Bogiem ich migoczące ekrany,  
Ciągłe zmienne obrazy,  
Kolorowe reklamy,  
Niekończące się SMS-y.  
Ale ich twarze

Wciąż smutne, szare,  
Zmęczone.  
A serca - samotne.

Na tej ulicy  
To, co dobre zniknęło.  
Miłością nie jest już  
Niewinne uczucie.  
Przyjaźnie nie istnieją.  
Liczą się korzyści,  
Uzależniające coraz bardziej.  
Te małe trucizny,  
Przez które więdną kwiat.  
Piękny kwiat zwany życiem.

A czy Ty chodzisz codziennie tą ulicą?

*Wyróżnienie (poezja)*

**Michał Mierzejewski**  
**(godło: Atari)**  
**Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 im. Stanisława Staszica**  
**w Tomaszowie Mazowieckim**

### **Toast**

Módlmy się za wrogów.  
Póki jeszcze żyją,  
Bo często dają cel nam.  
Większy niż daje miłość.

Za nasze babcie.  
Niedzielne flaczki.  
Za naszych ojców  
I puste flaszki.

Wznieśmy toasty za  
Chorągiewki, bo idzie wicher.  
Za tych, którym zabrali zdrowie  
I za tych, którym zniszczyli życie.

Za wielkich macho.  
I auta sportowe  
Za kury domowe  
I marsze kobiet.

Odpalmy pety i weźmy oddech.  
Niech ogień w płucach nigdy nie zgaśnie.  
Z pamięcią o tym, że dziś tak jak co dzień,  
Wielu z palących na zawsze zaśnie.

Módlmy się za tych,  
Co w nic nie wierzą.  
Za łatwowiernych.  
I za tych co „siedzą”.

Polej co możesz i wstań.  
Kieliszki w górę lub pełne szklanki.  
Za żony naiwne i delegacje.  
Za bękarty, sieroty i samotne matki.

Za nasze nałogi  
I naszych bliskich.  
Za młodych i emerytów.  
I w ogóle za wszystkich.

Na zdrowie.

**Julia Szczepańska**  
**(godło: Kaczka)**  
**I Liceum Ogólnokształcące im. Ziemi Kujawskiej**  
**we Włocławku**

**Pościel**

Po zmianie, myślisz  
Że coś się zmieni  
Zmiana otoczenia  
Zmiana ludzi  
Zmiana pościeli  
Na początku czujesz zapach nowości  
Świeżości  
Znajomy zapach, ale taki nowy

Potem plamisz  
nową  
zmienioną pościel  
Swoimi wadami  
Nigdy się nie nauczysz, żeby nie jeść w łóżku

Chcesz ją zmienić, ale przecież  
Jeszcze dobra  
Plama się powiększa  
Bo wzięłaś kieliszek goryczy  
Znowu do pościeli

Coraz mniej ci się to podoba  
Ale nie masz nowej poszewki na zmianę  
Więc doprawiasz to jeszcze wypaloną  
Dziurą od sarkastycznego papierosa

Teraz to już musisz ją wyrzucić  
Ale doskonale wiesz  
Że skończy jak poprzednia

# Proza



*I miejsce (proza)*

**Julia Saluda**  
(godło: Hela)

**I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chelmońskiego  
w Łowiczu**

### **Miasto pogody...**

W Mieście Deszczu obowiązują tylko dwie zasady, pierwsza – przestrzegać najwyższego prawa i druga – nie wchodzić do Tunelu. Już dzieci w wieku przedszkolnym doskonale potrafią wyrecytować, że prawo jest tym, co buduje i umacnia społeczeństwo oraz że jest jedyną pewnością w otaczającym nas świecie niewiadomych. Logiczne, że to, co nieznanie nie może być przecież dobre. A Tunel bezsprzecznie jest największą tajemnicą naszych czasów.

Życie mieszkańców jest określane jako „szczęśliwe”, dopóki stosują się oni do obowiązujących reguł. Mają pozwolenie na pracowanie w jednej z sześciu fabryk parasoli, wracanie do domu o godzinie 19.05 i jedzenie na kolację jajecznicę. Mogą chodzić na targ w soboty o 10.10, wdychać deszczowe powietrze w drodze powrotnej z pracy, a nawet pozwala im się czytać gazetę ze starannie rozplanowanym rozkładem następnego dnia i prognozą pogody. Idealne społeczeństwo... *czy potrzeba jeszcze czegoś więcej?*

Poszczególne warstwy społeczne mają oczywiście różne zadania. Przytoczony w poprzednim akapicie przebieg dnia jest typowy dla najliczniejszej grupy – Zachmurzan. Chodzą oni ubrani na szaro, żeby można ich było łatwo rozpoznać. Na nieco wyższym szczeblu znajdują się miłujący kolor mlecznej bieli, Mgielni, czyli strażnicy mianowani na swoje zaszczytne stanowiska bezpośrednio przez Pogodynów, ubierających się w eleganckie ołówkowe spódniczki lub krojone na miarę garnitury. Zajmują oni najwyższe miejsce w hierarchii naszego społeczeństwa. To właśnie Pogodyni zrewolucjonizowali system praw i wprowadzili porządek w Mieście Deszczu. Również im zawdzięczamy zakaz wchodzenia do Tunelu i wygłaszanie codziennych prognoz pogody... *paradoks, co?*

Niestety, jak w każdym społeczeństwie dążącym do bezprecedensowej doskonałości i w naszym zdarzają się jednostki zaburzające harmonię. Tak zwani Burzowcy są największymi wrogami porządku i sprawiedliwości. Nie wypełniają swoich powinności i często łamią święte zasady. Mgielni czuwający nad bezpieczeństwem miasta i nadzorujący wykonywanie zadań przez mieszkańców są zobowiązani do zatrzymywania Burzowców i wszczynania przeciwko nim odpowiednich procedur. Tak zwane „beznadziejne przypadki” wysyła się do specjalnych ośrodków nazywanych Stacjami Meteo, gdzie poddawane są resocjalizacji. Wracają stamtąd jako odpowiedzialni obywatele gotowi do wypełniania swoich powinności.

Nieprzestrzeganie prawa nie może być akceptowane. Tak samo jak niewypełnianie swojej roli.

Takim wyrzutkom, którym przypięto łatkę Burzowców nie dane jest znaleźć pracę w jednej z pięknych fabryk parasoli ani uczęszczać do żadnej placówki edukacyjnej. Nie mogą być stawiani na równi z innymi mieszkańcami. Nie zarabiają zatem pieniędzy, dopóki nie przystosują się do panującego prawa, które od początku powinni przestrzegać. Tylko wtedy łaskawie pozwoli im się na odzyskanie miejsca w szeregach obywateli naszej szanowanej społeczności. Jeśli jednak najbardziej zawzięci z nich w dalszym ciągu będą trwać w swoim absurdalnym uporze, nie mogą liczyć na estymę ze strony przykładowych obywateli.

Postawa Burzowców jest i była negowana w każdym codziennym wydaniu prasy. Przytaczano już niezliczone przykłady stawiające takie jednostki w bardzo nieprzychylnym świetle. Jeden Burzowiec wyrzucił papierek po cukierku na chodnik, drugi nabazgrał coś na nieskazitelnie białej ścianie fabryki parasoli, a ostatnio kolejny przedstawiciel tego „gatunku” przykleił gumę do żucia na ławce na dworcu kolei deszczowej. Nie obyło się oczywiście bez należnego tym sprawom echa. Przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, zaczynając od Zachmurzan przez Mgielnych na Pogodynach skończywszy, byli niezmiernie oburzeni opisanymi powyżej sytuacjami. Nie mieściło im się w głowie, jak ktoś może być aż tak zepsuty. Jednakże władze nie pozostały bierne na troski obywateli i w porę zareagowały. Mianowicie wprowadzono powszechnie znane już prawo zakazujące nieprzestrzegania prawa... *czyż to nie kolejny absurd?*

Obecnie, po dosyć kontrowersyjnej reformie, takie wybryki zdarzają się nad wyraz rzadko. Mieszkańcy mogą w spokoju wykonywać swoje ściśle określone obowiązki i nie przejmować się złym nastawieniem Burzowców, którzy są stopniowo eliminowani. Wszystko byłoby zupełnie idealne, gdyby nie zeszła środa, kiedy zdarzył się największy skandal od niepamiętnych czasów. Mimo że codzienna prasa zgodnie o wszystkim milczała, to nie było mieszkańca, który nie słyszałby o niesłychanym zachowaniu dwójki młodych Burzowców.

O ich imionach krążą niezliczone plotki. Jedni mówią, że to byli Plucha i Huragan, drudzy wspominają o Słocie i Wichrze, lecz większość obstawia Mżawkę i Wichra. Tak więc pozostaje nam uznać ostatnią wersję. Czy byli rodzeństwem? Tego nie można w żaden sposób stwierdzić. Niewiele osób ich знаło, a ci, którzy się z nimi zadawali boją się teraz do tego przyznać. Jednak niektórzy ośmielają się twierdzić, wbrew przemilczaniu ich postaci przez Pogodynów, że swoim zachowaniem zszokowali całe Miasto Deszczu.

Jak już wspominałem, wszystko miało miejsce w zeszłą środę. Mżawka i Wicher jako przedstawiciele najniższej warstwy społecznej nie udali się do pracy w fabryce ani do szkoły. Zamiast tego poszli na targ, by dokonać zuchwałej kradzieży rzodkiewki. Po dopuszczeniu się tego czynu, którego świadkiem była nasza korespondentka Rosa Kapuśniaczek, dwójka nieletnich przestępców myślała, że wszystko ujdzie im na sucho. Na ich nieszczęście na miejscu znajdował się jak zawsze przygotowany do zatrzymania złodziei patrol Mgielnych. Kradzież jest jednym z najsrożej karanych przewinień, z tego wniosek, że jedyną deską ratunku dla młodych Burzowców była ucieczka.

Starsza pani o nazwisku Szron zarzekła się, że biegli najpierw przez Aleję Gradową, a później skręcili na plac Czterech Śnieżynek, jednak pan Piorun, dwukrotny medalista

w przepowiadaniu pogody, stwierdził, że widział ich na ulicy Zorzy Polarnej, gdy wracał ze zmiany w fabryce parasoli znajdującej się na rogu Mroźnej i Tornada. Którędy by nie biegli, nie mieli wielu możliwości ucieczki. Patrole Mgielnych ze wszystkich stron miasta zostały natychmiast powiadomione o niecodziennej sytuacji. Burzowcy ścigali się z czasem, którego mieli coraz mniej. Niektórzy mówią, że w akcji desperacji, inni twierdzą, że w nagłym przypływie odwagi, niemniej dwoje młodych bohaterów, gonionych przez Mgielnych, skierowało się w stronę Tunelu. Nie wiem, jaki zły duch im to doradził, ale stanowczo nie powinni byli go słuchać. Gdy gwardziści ich dogonili, oni już znikali w egipskich ciemnościach wypełniających niekończący się kanał, pełen najgorszych okropieństw, jakie możemy sobie wyobrazić.

Dla zwykłych mieszkańców nie do pomyślenia jest złamanie jednej z zasad, a oni naruszyli aż dwie! Mimo tego oczywistego pogwałcenia moralności, wielu Zachmurzan zaczęło się szczerze martwić losem Mżawki i Wichra, a nawet zastanawiać się nad powodami, przez które dwójka młodych Burzowców była zmuszona do podjęcia tak radykalnego kroku...

– Bzdury! – wykrzyknął naczelny redaktor gazety, pan Pochmurny, kończąc tym samym staranne odczytywanie roboczej wersji nowego artykułu.

– Przecież to sama prawda! – bronił się autor owego tekstu, któremu przed chwilą bezceremonialnie przerwano. – I ty o tym wiesz!

– Nie możesz zrobić bohaterów z tych dwojga Burzowców! Powinieneś za to bardziej szczegółowo opisać brawurową akcję Mgielnych.

– Oni tak właściwie nic nie zrobili – mruknął pod nosem młody Pogodynek.

– Jak matkę kocham, gdybyś nie był moim bratankiem już dawno bym Cię zwolnił - westchnął ciężko naczelny redaktor.

– No ale...!

– Zmiataj stąd! I błagam cię, przestań już pisać artykuły, jesteś tu tylko od robienia nam kawy.

Po tych słowach niespełniony dziennikarz ze spuszczoną głową opuścił biuro swojego stryja, by powrócić na znienawidzone stanowisko przy ekspresie do kawy. Jego wędrownice przez osiemnaste piętro redakcji Pogodnej Gazety towarzyszyły przemyślenia na temat niesprawiedliwości w otaczającym go świecie i absurdach, którymi naszpikowane było prawo jego rodzinnego miasta.

Ta „zawodowa” porażka nie zatarła w nim jednak woli walki i hartu ducha, wręcz przeciwnie, popchnęła go do śmielszych rozważań. Zaczął zdawać sobie sprawę, że Miastu Deszczu potrzebny jest kamyk, który popchnie lawinę zmian. A to, że ta myśl zrodziła się w jego sercu, w sercu członka niepodważalnej elity, jest pierwszym małym krokiem w dziejach nowej ery tego miasta. Jego myśli krążyły wokół stwierdzenia, że to początek końca Miasta Deszczu w takiej odsłonie. Końca absurdów i ślepo podporządkowanych władzy mieszkańców. Końca strachu przed nieznanym. Końca ponurej aury odbierającej obywatelom radość z życia. Nawet jeśli to nie otwarte kwestionowanie systemu norm społecznych przez młodego Zefira, którego stryj jest redaktorem naczelnym najbardziej wpływowej gazety wśród Pogodynów, przekona ludzi do działania. Wiedział, że to musi być początek zmian, wkrótce znajdą się inni niepokorni, którzy odważą się mieć swoje zdanie.

Po zajęciu swojego krzesła w prowizorycznym biurze, Zefir był już całkowicie pewien, że jest w stanie, że musi rozpaść w duszach borykających się z wątpliwościami mieszkańców płomień nadziei na lepszy świat pozbawiony paradoksalnych zasad i sztywnych władz. Jednak z drugiej strony zaczynał go coraz bardziej intrygować Tunel, który był symbolem największej tajemnicy ukrywanej przez założycieli Miasta Deszczu. A gdyby tak przekonać się, dokąd prowadzi? Czy Zefir stanowiłby wtedy przykład dla innych mieszkańców? Zostałby zapamiętany jako bohater, który zmienił bieg historii? Podjął decyzję...

**Antonina Trzaskoma**  
**(godło: Meduza)**  
**II Liceum Ogólnokształcące im. Hugona Kollątaja**  
**w Wałbrzychu**

**Mróz**

Chłód, wiatr i ciemność, gdzieniegdzie lekko połyskująca słabym światłem latarni. Cisza przerywana jedynie cichym rytmicznym stukotem butów o bruk. Każdy krok był delikatny i wyważony. Poruszać się dynamicznie, ale uniknąć upadku na oblodzony chodnik. Dlaczego nie ma śniegu? Czy dla natury naprawdę stanowiło to zbyt wymagające zadanie? Garstka puchu. Niewielka ilość by mu wystarczyła. Codzienny rytuał spaceru byłby znacznie przyjemniejszy, gdyby mógł poczuć igielki mrozu na skórze i obserwować, jak płatki tracą swój idealny kształt i powoli znikają w ciepłe dłoni. Nic nie znacząca czynność, lecz żadna nie przyniosła mu jeszcze tyle czystej radości i orzeźwienia umysłu.

Zabawne, jak zdarzenie całkowicie losowe i frustrujące za pierwszym razem po wielu powtórzeniach staje się normalnością. Psychika przeżywa niewyobrażalny wstrząs, wywołuje bunt i wściekłość, by następnego dnia przyjąć zmiany jako nową część algorytmu i traktować je jak bierną, ledwo istniejącą w rzeczywistości procedurę, odruch bezwarunkowy. Mózg wyjątkowo wybiórczo radził sobie z takimi sytuacjami. Niektóre wypadki pobudzały ten sam ból codziennie. Nic nie było w stanie zmienić pozycji tego wydarzenia jako posępnego odstępstwa od rutyny.

Dwadzieścia smętnych lat pokonuje tę samą trasę dzień w dzień. Obserwując obce, domowe poranki z perspektywy obojętnego przechodnia. Wypatrywał wyjątkowości, nie każdy bowiem upodobał sobie nonkonformizm wstawania o tak wczesnej godzinie. W oknach, pokrytych wzorem ze szronu, rozbłyskującym oddalonym światłem lamp, zawsze szukał śladów ludzkiej codzienności. Nawet prozaiczny kubek był swoistym śladem życia, które toczyło się gdzieś tam za firanką.

Powoli jaśniało, kiedy zbliżał się do ogromnego oszklonego budynku. To miejsce nigdy nie spało, nigdy nie było spokojne, a okna błyszczące światłem lamp były ostre i nie przywodziły na myśl ciepła. Na wejściu uderzało słodko – ostrą mieszanką zapachu środków dezynfekcyjnych, do której nozdrza przyzwyczajały się dopiero po jakimś czasie. Kiwnął kilku osobom na powitanie i skierował się do schodów prowadzących do piętér podziemnych. Praca w ciemnym, chłodnym laboratorium była przyjemna w swój wyjątkowy sposób. Na pozór spokojna i niezbyt wymagająca. On zwykł nazywać ją odpoczynkiem. Powtarzał to jak mantrę. Po wielu latach jego umysł zaczął automatycznie porównywać ze sobą laboratoria i wmawiać sobie, że nawet najgorsze zdarzenie tutaj jest lepsze. Mózg lubi fakty. Lubi je układać. Nawet jeśli są jaskrawo fałszywe, mózg ułoży je w całkiem zdalny do oceny ciąg logiczny. Zrobi to tak dobrze, że uwierzymy w wytwór własnego umysłu i przekonamy siebie, że oczywiście tu jest lepiej.

\*\*\*

Wziął głęboki wdech. Środki dezynfekcyjne były tutaj delikatniejsze. Przebijał się przez nie aromat wczorajszej skwaśniałej kawy, która zgrabnie dopełniała kompozycję stosu dokumentów. Do rozpoczęcia zmiany miał teoretycznie jeszcze dużo czasu. Prawie dwie godziny. Z ulgą stwierdził, że wczorajsze sprawy są już zamknięte. Wystarczyło tylko uzupełnić dokumentację i wydać upoważnionym. Najpierw jednak przygotował narzędzia, przemył jeszcze raz stoły. Zdawał sobie sprawę, że zostało to już zrobione, ale nie przez niego. Kiedyś robił to ktoś inny, on odczuwał to każdym ciałem swojego ciała. Od tego czasu każdy przyrząd był odmienny. Opryskliwie odstawał, pokazywał różnice. Czyściły go obce ręce, obce go odkładały, to było czuć. Brakowało unoszącej się pozostałości zapachu kwiatowo-szyprowych perfum. Tęsknił za nutą wanilii i cynamonu w kawie, którą - nienawidząc jej całym sercem - wypijał dla uśmiechu, błysku perłowobiałych zębów i uczucia ciepła każdego dnia. Słońca w ciemnej piwnicy laboratorium. Choćby chciał, to dla jego mózgu to zniknięcie, to odstępstwo od normalności nie było tylko zmianą algorytmu. Jego emocje codziennie były na alarm, że harmonia nie została osiągnięta. Równowagi brak, bo kogoś nie ma.

Jedyne, co było to mróz.

Dlaczego tu jeszcze jest? Nie było jednoznacznej odpowiedzi. Dlatego, że był miłośnikiem rutyny, harmonii, perfekcji? Nie potrafił rzucić zawodu i odejść? Nie wiedział. Na zadane pytanie albo nie odpowiadał albo uderzał argumentem powołania, zabicia czasu i potrzeby bycia przydatnym. Czasem dla zabawy odpowiadał tym samym pytaniem i drażył, aż do momentu, kiedy uznał, że rozmówca już nigdy tego samego błędu nie popełni i nie zapyta raz jeszcze.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk kropli spadających rytmicznie na kartkę. Automatycznie wrócił do szybkiego skrobienia piórem po dokumentacji lekko pokrytej kleksami. Gdy skończył, przebrał się w mundurek, pod który włożył jeden ze starych, znoszonych, choć dalej eleganckich golfów. Na wierzch włożył fartuch i przypiął plakietkę.

W spokoju, mając prawie godzinę w zapasie, zaparzył kawę i zaczął przyglądać się bezmyślnie leżącym na biurku magazyn. Ciszę przerwało głośne pukanie o drewniane drzwi, trzy dwudźwiękowe sekwencje i delikatnie skrzyknięcie starej klamki. Już dawno miano ją naoliwić.

- Słucham?

- Doktorze, pacjent- odpowiedział młody mężczyzna przytłumionym głosem.

Był wysoki i szczupły. Krótkie czarne włosy wyglądały na ułożone, ale zmęczone nocnym dyżurem. Trzęsły mu się ręce i nieporadnie ciągnął łóżko. Oddychał szybko i nieregularnie, dość nieporadnie próbując uspokoić oddech. Po szyi spływała mu strużka potu. Istniała dość duża szansa, że zaraz straci przytomność z powodu hiperwentylacji.

- Postaw przed stołem.

- Tak jest doktorze- odparł rezydent i posłusznie się zatrzymał.

- Usiądź, zanim zaczniemy i oddychaj głęboko. Na blacie stoi kawa - wydał polecenia, wyłaniając się z głębi laboratorium.

Był pewien, że to był dla tego chłopaka pierwszy raz. Wyglądał na przerażonego, gdyby mógł, to pewnie schowałby się pod biurkiem. Nie miał do niego pretensji. Znał to uczucie, z tą różnicą, że w przeciwieństwie do innych, on tutaj czuł się bezpiecznie.

- Dlaczego wybrał pan akurat to?! - zapytał rezydent, obserwując go, gdy zaczynał procedurę.

- Co to znaczy „akurat to” ?- odparł.

Był tak przyzwyczajony do tego pytania, że w umyśle już rysowały mu się możliwe scenariusze dalszej rozmowy.

- Pytam, bo tutaj czuje się aurę.

To było zaskoczenie. Niewielu potrafiło ją wskazać i określić.

- Jest pan wyjątkiem- rzucił, nie podnosząc wzroku.

- Co skłoniło pana do wyboru tej specjalizacji? To jedna z najtrudniejszych psychicznie do wytrzymania - drażył rezydent.

Co miał mu powiedzieć? Skłamałby mówiąc, że widzi preparat zamiast człowieka. Zagadkę zamiast tragedii. Każdy przypadek jest taki sam. Chciałby czasem zrobić coś więcej. Wyjść ze swojego metra kwadratowego konformizmu i na coś się przydać. Pragnął dać od siebie coś więcej poza kilkoma preparatami i starannymi szwami. Miał często poczucie, że zawiódł, nie podołał stresowi innej pracy. Wiedział, ile można było zrobić, by nikt się nie znalazł w tym miejscu. Robił to dla poczucia spełnienia. Jego praca, pogardzana i wywołująca zgorszenie, dawała niektórym ulgę. Stwierdzenie braku błędów i podanie jasnego powodu, przynajmniej tego biologicznego, dlaczego stało się tak, a nie inaczej. Czasem przynosił spokój, czasem wywoływał burzę, ale wiedział jedno - im wszystkim to się należy. Częstka sprawiedliwości, na jaką zasługują, zamknięcie sprawy i spokój, który nade wszystko im się należy. Teraz po tylu latach robił to dla niej. By nie zmarnować tego, co rozpoczęła. Razem z nią zniknęło ciepło i chęć. Ona była słońcem i gasnąc, zostawiła tylko mróz i pustkę.

- Każdy zasługuje na sprawiedliwość - odparł, odcinając drżącą dłonią nić.

- Zginęła w wypadku- rezydent wskazał głową na pacjentkę - Jedyne co było niezmiążdżone w aucie to flakon perfum. Uwierz pan? Szklany flakon!

Bez słowa wyszedł z gabinetu. Czuł zimno. W skórze, w kościach i sercu. Ogarniał go gwałtownie i rozsadzał klatkę piersiową od środka.

Nie było nic, tylko mróz. Kłujący jak szkło, ostry jak lód.

Wybiegł przed budynek.

Głęboki wdech. Ból znów uderzył gwałtownie, by sekundę później zniknąć. Z każdym wdechem czuł coraz większy spokój. Chłodne powietrze oczyszczało umysł, zdejmowało ze skóry zapach procedur, dezynfekcji, odczynników. Podniósł głowę i popatrzył w niebo. Wyciągnął przed siebie drżącą dłoń i patrzył z radością dziecka, jak powoli ląduje na niej jeden jedyny płatek śniegu. Obserwował jak w sekundę traci swój perfekcyjny kształt i delikatnie rozmywa się w ciepłe skóry. Jak dawno nie było śniegu... Czuł na sobie zaniepokojone spojrzenie rezydenta.

Wiedział, że jest zimno.

Ono jest przyjemne.

Ono oczyszcza.

Ona je kochała.

Ile by dał, by nie wiedzieć, czym jest prawdziwy mróz.





Puk!

Puk!

Puk!

- Mamo? Mamo! Mamo, wychodź! Nie chcę już grać w chowanego!

Trzy.

Dwa.

Jeden!

I tak oto, rozpadając się skrawek po skrawku, stałam się jedynie duchem lewitującym

Trzy.

Dwa.

Jeden! metr nad ziemią.

- Dobry wieczór! - lodowaty głos uderzył jakby znikąd, następnie jednak, przybierając formę dymu wirującą przed moimi oczyma. - Szokujące? Żadna z religii nie zdołała mnie przewidzieć. Całe moje piękno kryje się w tajemniczości. A więc, niespodzianka!

Dym z każdą sekundą coraz bardziej przypominał cień człowieka. Skracał się i wydłużał, to ukazując swoją wyższość nad marnymi, ziemskimi istotami, to znów zmuszając do wyłączenia wzroku. Strach, którym mnie atakował, wyraźnie go bawił.

- Oczywiście, już wszystko tłumaczę. Najpierw muszę zaznaczyć, że masz wybór. Możesz pójść dalej ze mną lub zostać, jeśli ta mała istotka nerwowo pukająca w drzwi łazienki jeszcze cię porusza. Zabawne, że tak daleko potrafiłaś posunąć się dla odrobiny szczęścia... Obserwowanie twojego krótkiego życia było dla nas źródłem wielu atrakcji. Twoja córka była fenomenalnym zwrotem akcji! Ale może porozmawiamy o tym później, wszyscy w Zaświatach czekają na rozwiązanie twojej sprawy i lepiej nie trzymać ich w napięciu. Droga jest prosta! Możesz iść przed siebie, do naszej cudownej krainy, zbudowanej na uczuciach i ideach. Nie ma Piekła stojącego w płomieniach, pełnego zgnilizny i cierpienia. Nie ma Nieba bytującego w rytmie harf. Istnieje myśl - to w niej trwamy. Moralność jest bardzo względna, dlatego podział na „dobro” i „zło” byłby bezsensowny. Nasz świat to sen- oznacza to możliwości, które zdołasz sama wykreować, ale również paralize, na które nie będziesz mogła nic poradzić. Oczywiście, możesz również się cofnąć i szukać dalej szczęścia w świecie materialnym. Myślę, że dużo nabroiłaś i jednak wypadaloby po sobie posprzątać. Słyszysz? „Mamo! Mamo!”. Może jeśli powrócisz i trochę uporządkujesz sprawy, ten paskudny świat czymś cię jeszcze zaskoczy. Może. Masz szansę. Masz wybór. O jakie życie się zatroszczysz?

Wykształcił smukłą dłoń, wyciągniętą w moją stronę w geście zachęty. Spokojnie! Mam czas na podjęcie decyzji.

- Mamo! Otwieraaaaaaaj! Nie! Chcę! Się! Już! Bawić! Mamo, boję się! Proszę!!! Złapałam za dłoń i postawiłam pierwszy krok.

**Martyna Serafin**  
(godło: Silver)  
**II Liceum Ogólnokształcące im. Hugona Kollątaja**  
**w Wałbrzychu**

**Emilia**

Och Emilio, dlaczego nie zauważyłaś tego wcześniej? Dlaczego pozwoliłaś im zranić się tak bardzo? Gdybyś tylko dostrzegła te znaki, gesty. Oszczędziłoby ci to tak wiele bólu, tak wiele łez.

Od zawsze uwielbiałaś spędzać czas z ludźmi. Rozmawiać z nimi, widzieć ich uśmiech, słyszeć śmiech. Miałaś też dar dostrzegania tych, których kwiaty – obrazy dusz wędły lub usychały. Podchodziłaś do nich, wyciągając w ich stronę dłoń, którą przyjmowali z wdzięcznością, często także lękiem o szczerość twoich intencji. Czasami jednak tacy ludzie odnajdywali cię sami. Dawali ci do uzdrowienia swoje kwiaty, z rosnącą radością obserwowali, jak uschnięte płatki ożywały, zwiędnięte liście lśniły. Sprawiałaś, że zapomniane, zepchnięte w mrok dusze, stawały się takie jak dawniej – zdrowe, silne, szczęśliwe. Nieważne, jak bardzo były zniszczone, nie odtrącałaś ich, pomagałaś im. Nieważne było dla ciebie, kim jest ta osoba. Czy jeszcze wczoraj była po drugiej stronie, wyśmiewając innych. Nie obchodziło cię to, byłaś przekonana, że każdy zasługuje na drugą szansę, że każdy może się zmienić. Byłaś uwielbiana i podziwiana. Zdobywałaś zaufanie każdego. To do ciebie pierwszej kierowali się z problemami, wiedząc, że im pomożesz. Byłaś ich opoką. Więc dlaczego nikt nie dostrzegł, że cierpisz? Dlaczego nikt nie dociekał, dlaczego pomagasz, nie oczekując niczego w zamian? Dlaczego nikt nie domyślił się, że pragniesz, by ktoś odwdzieczył się tym samym? Ale ty przewyciężyłaś swoją słabość. Widziałaś osoby, które cierpiały bardziej niż ty. Sądziłaś wtedy, że twoje zmartwienia to nic w porównaniu z problemami innych. W końcu, czy samotność może równać się odrzuceniu przez rodzinę? Albo ze śmiercią kogoś bliskiego? Dla ciebie odpowiedź brzmiała „nie”.

Samotność – to z nią nauczyłaś się mierzyć. Codziennie. Wszyscy cię lubili, niektórzy zazdrościli ci tyłu znajomych, tej popularności. Ale ty, Emilio, pragnęłaś być na ich miejscu. Mieć jednego, może dwóch zaufanych przyjaciół, to wszystko. Czy to właśnie dlatego tak szybko i bezwarunkowo zaufałaś Patrycji? Bo zaoferowała ci coś, czego pragnęłaś od zawsze i nigdy dotąd nie zaznałaś?

Przysiadła się do ciebie na przerwie. Spojrzałaś na nią, spodziewając się, że za moment usłyszysz jej historię. Ale ona zapytała cię, jak minęły ci ferie. Odrobinkę zdziwiona opowiedziałaś jej o, twoim zdaniem, nudnym wypoczynku. Ona słuchała z zaciekawieniem, śmiała się, gdy wspomniałaś o pogoni oblodzonym chodnikiem za kotem, a jej mina wyrażała zachwyt, gdy opisałaś zachód słońca nad zamrzniętym jeziorem. Oczywiście, gdy skończyłaś opowiadać, spytałaś, jak jej minął ten czas. W odpowiedzi otrzymałaś relację z wyjazdu do Barcelony. Na następnej lekcji usiadła obok ciebie, wcześniej pytając, czy nie będzie ci przeszkadzać. I tak to się zaczęło. Rozmawialiście coraz częściej, planowałyście wspólne wypadki na miasto, urządzałyście sobie wspólne filmowe noce. Spędzałyście godziny na plotkach. To właśnie wtedy przestałaś poświęcać tyle czasy tym, którzy zaufali ci i powierzyli swój kwiat.

Dalej pomagałaś każdemu, kto przyszedł, prosząc o chwilę uwagi. Ale przestałaś dostrzegać takie osoby sama. Na początku, oczywiście, widziałaś tych, których dusze były bardzo zaniedbane. Podchodziłaś do nich, wyciągając pomocną dłoń. Jednakże nie dostrzegałaś delikatnie zwiędniętych płatków czy ususzonych liści. „To nie twoja sprawa” powtarzała ci Patrycja. „Ci ludzie sami mogą sobie pomóc” komentowała twoje wysiłki, kręcąc głową. Ale ty uparcie pomagałaś każdemu, kto tego potrzebował.

Jak długo przyjaźniłaś się z Patrycją, gdy poznałaś Jaśka? Pół roku? Był nowym uczniem w klasie, a wspomnienie waszego pierwszego spotkania wryło ci się w pamięć. Wychodziłaś właśnie z sali od fizyki, oglądając ulotkę promująca wyjazd do Grecji. Byłaś tak zapatrzona w śliczne zdjęcia, że nie zauważyłaś idącego w stronę sali chłopaka. On także był zamyślony, więc gdy wpadliście na siebie, nie robił ci wyrzutów. Choć zapewne nikt na jego miejscu nie próbowałby ich robić. Byłaś dla nich kimś nietykającym, mistycznym. Wpadliście na siebie, prawie się wyróciłaś, ale on zdążył cię złapać. Spojrzał ci w oczy, po czym przeniósł wzrok na ulotkę, którą dalej trzymałaś kurczowo w ręce. „Chciałabyś pojechać do Grecji?” – zapytał. Ty twierdząco pokiwałaś głową. „Byłem w Atenach, są zachwycające” – powiedział. Widziałaś w jego oczach, że z wielką chęcią opowiedziałby ci teraz o tamtym wyjeździe, ale przerwał wam głos twojej wychowawczynie. Spojrzał na ciebie przepraszająco i obiecał, że wróci do tej rozmowy później, oczywiście, jeśli będziesz chciała, i pobiegł do nauczycielki. Dopiero na następnej lekcji, godzinie wychowawczej, dowiedziałaś się, że chłopak, na którego wpadłaś, nazywa się Jasiek i od tego dnia jest nowym uczniem w waszej klasie. Dosiadł się do ciebie i Patrycji, a na przerwie podszedł do was i zaczął wypytywać o szkołę i nauczycieli.

Nie radziłaś sobie z fizyką, co szybko dostrzegł nowo poznany chłopak i zaproponował ci korepetycje, na które z drobnymi oporami się zgodziłaś. Nie byłaś przyzwyczajona do tego, że ludzie oferują ci pomoc, zawsze było na odwrót. I tak oto zaczęły się wasze wtorkowe spotkania, na których z początku uczyliście się, a zbiegiem tygodni coraz bardziej otwieraliście się przed sobą. W którymś momencie dołączyła do was Patrycja. W ten sposób staliście się nierozłączną trójką najlepszych przyjaciół. Ale ty poczułaś coś więcej. Po jakimś czasie zaczęłaś rumienić się przy Jaśku, każdy jego najlżejszy dotyk sprawiał, że drżałaś, a cały świat przestawał przy nim istnieć.

Pamiętasz tamto kwietniowe popołudnie? Zapach kwitnącej jabłoni? Śpiew ptaków? Jego barwę głosu, pełnego wahania? Patrycja nie mogła się z wami spotkać, musiała odwiedzić rodzinę. Umówiłaś się z Jaśkiem pod rozłożystą jabłonią na łące. Gdy tylko go zobaczyłaś, zauważyłaś, że coś jest nie w porządku. Był dziwnie poddenerwowany. Ale gdy spostrzegł, że idziesz, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Poszliście w wasze ulubione miejsce i rozsiedliście się pod wierzbą, nad brzegiem jeziora. Uwielbialiście to miejsce, gdyż długie, opadające do ziemi gałęzie zapewniały wam prywatność. Rozmawialiście o bzdurach, ale cały czas widziałaś, że coś go trapi. Dawno nauczyłaś się odczytywać uczucia, dlatego jego zapewnienia, że to nic takiego, nie przekonywały cię. W końcu namówiłaś go, by powiedział ci, co go trapi. Pamiętasz jego wyznanie, prawda? Jeszcze kilka kolejnych dni przywoływałaś sobie dokładnie te słowa. Pełen wahania, bojąc się twojej reakcji i nie patrząc ci w oczy, wyznał ci miłość. Nie mogłaś uwierzyć, że twoje najskrytsze marzenie się spełniło. Zostaliście szczęśliwą parą. Patrycja rozpływała się, patrząc na was i powtarzając, jak słodka razem wyglądacie. W końcu miałaś wszystko, czego pragnęłaś. Nie byłaś już samotna, mogłaś polegać na dwóch bliskich ci osobach. Nie spędzałaś już czasu sama, zawsze

towarzyszyli ci Jasiak lub Patrycja. Może to przez to ludzie chcący twojej pomocy bali się podejść i o nią poprosić? Ale ty nie zauważałaś tego, byłaś zajęta rozkoszowaniem się nowym uczuciem. Zapomniałaś o tym, co robiłaś przez kilka poprzednich lat. Na początku osoby, którym niegdyś pomagałaś, niepewnie witały się z tobą w korytarzu, ale ty tego nie słyszałaś. Jedyne, co dostrzegałaś, to orzechowe oczy Jaska. Czułaś jego ciepłą dłoń. Nie widziałaś też wrogich spojrzeń Patrycji, pod którymi kulili się twoi dawni znajomi.

Na wakacje musiałaś wyjechać, więc nie było szans, abyś zobaczyła się ze swoim chłopakiem i przyjaciółką przed wrześniem. Spędziliście wieczór przed twoim wyjazdem na ognisku. Musieliście nacieszyć się sobą, skoro mieliście nie widzieć się przez dwa długie miesiące. Nie sądziłaś, że ten wyjazd tak wiele zmieni w twoim życiu. Zaczęłaś znowu zauważać osoby potrzebujące pomocy. Zapomniałaś, jak wielką sprawiało ci to frajdę – widzieć pojawiający się uśmiech na smutnej twarzy. Wieczorami zastanawiałaś się, dlaczego z tego zrezygnowałaś, dlaczego przestałaś dostrzegać takie osoby. Tłumaczyłaś się, sama przed sobą, że znajdzie się ktoś inny. Jakaś inna dobra dusza, która zaopiekuje się potrzebującymi. A ty mogłaś teraz zatracić się w miłości.

Czego spodziewałaś się po powrocie do domu? Pełnego uczuć i radości spotkania z chłopakiem? Ploteczek z przyjaciółką? Cokolwiek to było, na pewno nie przyszło ci na myśl, że spotkasz się z oschłością i pogardą. Okazało się, że najbliższe ci osoby zdradziły cię, że nigdy nie byłaś dla nich kimś ważnym. Jasiak jedynie założył się z kumplami, że cię zdobędzie – tę mistyczną dziewczynę, opiekunkę potrzebujących. Nie mogłaś zrozumieć, dlaczego zabawił się twoim kosztem, twoimi uczuciami. A Patrycja? Zaśmiała ci się w twarz, nie mogąc uwierzyć w twoją naiwność. Pełnym jadu głosem powiedziała ci, że była przy tobie, bo jej pomagałaś. Poza tym, przyjaźniąc się z Tobą, szybko zdobyła popularność, czego od zawsze pragnęła. Zaufałaś im, a oni cię zdradzili. Tak bardzo nie chciałaś w to uwierzyć. Miałaś nadzieję, że to tylko koszmar, z którego zaraz się obudzisz. W jednej chwili upadłaś, nie mając nikogo, kto pomógłby ci wstać. Twój kwiat szcerniał i obumarał. Ludzie w szkole śmiali się z ciebie, nie mogąc uwierzyć w twoją głupotę. A jednak ktoś ci pomógł. Kaśka, dla której byłaś jedynym wsparciem, gdy jej rodzice się rozwiedli. Maciek, któremu przywróciłaś wiarę w siebie. Olka, która dzięki tobie zaczęła normalnie jeść. Oni wszyscy teraz cię wspierali, wierząc, że mogą w ten sposób odwdziżyć się za czas, który im poświęciłaś. Mając nadzieję, że podobnie, jak niegdyś ty, będą w stanie odnaleźć zagubiony uśmiech w pełnych łez oczach. Marzyli, aby zdobyć twoje mocno nadszarpnięte zaufanie. Nie mieli takiego doświadczenia jak ty, ale dali radę. Po kilku długich tygodniach na twojej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Kilka miesięcy później dałaś wyciągnąć się na wrotki. Chcieli ci pomóc, zasłużyć na twoje zaufanie, choć wiedzieli, że to będzie trudne. Ale dali radę. Połączyły was więzi prawdziwej przyjaźni. A nawet miłości.

Och Emilio, zawsze doszukiwałaś się plusów w każdej sytuacji. Nawet wspominając tę historię, która dla wielu okazałaby się zbyt trudną próbą. Opowiadając przyjaciółom, rodzinie, później dzieciom swoje przeżycia, zawsze dodawałaś na końcu „nawet gdybym mogła cofnąć czas, by zapobiec tym nieprzespanym nocom, wylanym łzom, nie zrobiłabym tego. Bo dzięki temu odnalazłam to, czego szukałam – prawdziwą miłość i przyjaźń”. Wszyscy kręcili z niedowierzaniem głowami, ale ty wiedziałaś, że to prawda. Doskonale zdawałaś sobie sprawę, że każdy w życiu upada – liczy się to, aby wstać. Aby zwycięsko powstać, patrząc prosto w oczy tych, którzy doprowadzili do upadku. Aby mieć dla kogo wstać i z kim kroczyć przez życie.

**Jakub Gamrot**

**(godło: Jirafel Note)**

**II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego  
w Tomaszowie Mazowieckim**

**Kutkowo**

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami mieściła się niewielka wioska Kutkowo. W wiosce tej mieszkali weseli wieśniacy, którzy kochali się, pomagali sobie w trudnych chwilach, a w wolnym czasie zbierali się razem wokół ogniska i śpiewali stare, ludowe pieśni. W ich sercach nie brak było dobroci i szacunku do bliźniego.

Co się z nimi stało?

Wioska została najechana przez dziwną grupę, która była niczym innym, jak Zdeprawowaną Bandą Okolicznych Gadzin<sup>1</sup>. Miejscowość spalono, a jedynie niewielka część mieszkańców przeżyła - dokładniej ci, którzy zdołali uciec w pośpiechu, zostawiając za sobą cały swój dobytek i poprzednie życie - w tym Dobromił Zięki<sup>2</sup>. Pogorzelnisko zostało zrównane z ziemią, a następnie w miejsce dawnych elewacji domów pogodnych mieszkańców, zaczęto wznosić rozklekotane chałupy z gliny i drewna. Tam, gdzie kiedyś wieśniacy gromadzili się przy ognisku, postawiono niezgrabną figurę, która imitowała pierwszego tyrana Bandy, Szczura Łądowego. Jedyne co po Kutkowie pozostało, to właśnie nazwa.

Od tego czasu minęło wiele lat. Na tyle dużo, by ułomne chałupy zdołały się rozpaść, jednak nie aż tyle, by ktoś uznał pomnik Szczura za dzieło sztuki współczesnej. Społeczeństwo Kutkowa - czyli dawne Gadziny - przeżyło wielki postęp kulturowy i zyskało miano Grupy Dostatecznie Ułożonych Dwu- i Czworonogów oraz Elementów Metalowych. Samo Kutkowo ewoluowało do rangi miasta, otwierając mieszkańcom niewiarygodne możliwości, takie jak sobotnie kręgle czy wieczorne karaoke w budynku obok.

To właśnie mniej więcej wtedy urodziła się Kłódka Kutka, która pochodziła z imigranckiej rodziny, zmuszonej z przyczyn nieznanych, do ucieczki z kraju. Matka Kutki zmarła tuż po porodzie, jednak jej ostatnią wolą było nazwanie córeczki na cześć miasta. Tak też się stało.

Kłódka dorastała z ojcem, który wychowywał ją wedle instrukcji pozostawionych przez matkę tuż przed jej śmiercią. Było to trudne dzieciństwo, bo ojciec nie widział zbyt dobrze i miał problemy z rozczytaniem wszystkich brzuszków, kresek i ogonków. Z tego powodu często przeinaczał matczyne chęci na ojcowskie kary, będąc święcie przekonany o słuszności swoich

---

<sup>1</sup> Pragnę zwrócić uwagę na szyk. Zdeprawowana jest Banda, a nie Gadziny.

<sup>2</sup> Po ucieczce i trzech nieprzespanych nocach na pokładzie Santa Maria 2.0 o transatlantycznym kursie, Dobromił, po uprzedniej zmianie nazwiska, został aktorem i zagrał w paru znanych filmach. Od tej pory nie przydarzyło mu się jednakże nic ciekawego, więc nie zwracajmy na niego większej uwagi.

działań. „Jak trzeba, to biję, nie mam wyboru.” Nawet nie przyszło mu do głowy, by matka mogła się mylić, „w końcu mają to w genach.”

Nic jednak nie przeszkodziło Kutce, by dorosnąć na kłódkę, która nie dawała się otworzyć byle kluczem. Była pełna werwy i radości życia. Udało jej się oddzielić przeszłość od teraźniejszości, dzięki czemu mogła cieszyć się swoją egzystencją do woli i bez ograniczeń.

To, dlaczego jej dorosłość tak właśnie wyglądała, można rozpatrywać na dwa różne sposoby. Albo za sprawą swojego imienia, miasto ją tak rozpieszczało, albo to ona tak bardzo kochała Kutkowo, przez wzgląd na imię, jakie jej nadano, co przełożyło się na jej powodzenie w mieście. Z doświadczenia wiem, że zwolennikami pierwszej opcji są raczej przeciwnicy Kłódki. Ktoś taki nie mógłby pojąć, że Kutka mogła sama zapracować na swój sukces, wolałby poprzestać na tym, że po prostu ma taryfę ulgową. Propagatorzy drugiej teorii wiedzą zaś, że studiowanie rzeczy, które uważamy za ciekawe, jest o wiele bardziej efektywne, przyjemne i kojące dla ciała i duszy. Taka, ot różnica.

Na wielkie nieszczęście, w Kutkowie wielu było gburów, wielu zazdrośników. W obliczu rozwoju społeczeństwa jednostki te musiały jednak odejść od starodawnej przemocy fizycznej i przestawić się na, początkowo traktowany z politowaniem, atak werbalny. Niebawem zrozumieli oni, że niesłuszna była dyskredytacja psychicznego znieważenia, ponieważ było ono, przy odpowiednim treningu, skuteczniejsze, niż tradycyjne metody. Postęp, prawda?

Kolejnym powodem, dlaczego z Kutką mieli ludzie problem, był jej najlepszy przyjaciel, czyli Koń imieniem Kluczyk. Łatwo się więc domyśleć, czego ta sarmacja od siedmiu boleści nie aprobowała<sup>3</sup> - mimo, że ich wyobrażenia nie miały żadnego pokrycia z rzeczywistością. Magnateria tak zacna potrzebowała pewnych środków, by izolować się od jednostek niepożądanych. To właśnie dlatego, już od żrebaka, Kluczyk był stygmatyzowany, by jasno mu pokazać, że nie jest on mile widziany. Nigdzie. Nienawiść do Konia, szybko przełożyła się na Bogu ducha winną Kutkę, na której obelgi, czy to skierowane do niej, czy do przyjaciela, nie robiły żadnego wrażenia.

Kluczyk jednak nie znosił najlepiej tej zмовy przeciwko niemu. Starał się jakoś wygrać z niesprzyjającymi myślami, jednak nie była to gra fair-play, przypominała bardziej znęcanie się grupy nieposkromionych nastolatków wyposażonych w lupy nad małą mrówką w słoneczny dzień. Jedynym oparciem dla Konia było oddanie i wsparcie Kutki, które tylko bardziej i bardziej rozjuszało wściekły tłum. Było to swego rodzaju błędne koło, które trwało przez wiele lat, aż do momentu, kiedy wszystko miało pęknąć.

Dlaczego miało pęknąć, a nie pękło?

W życiu bohaterów, kiedy atmosfera żalu i frustracji była najbardziej nasiloną, stało się coś nieoczekiwanego. Był to dzień, kiedy w Kutkowie pojawił się pewien tajemniczy Kogut. Gacuś - tak na niego wołali. Wszystkie oczy od tego czasu skierowane były na niego, a wszystkie usta zamarły w niespokojnym rozwarciu. Na bladych twarzach przechodniów

---

<sup>3</sup> Kłaniają się tu oczywiście różnice kulturowe, które mogą być dla niektórych z innych światów niezrozumiałe.

Zapewniam jednak, że dla wielu, obecność kluczy, w okolicy jakiegokolwiek kłódki, była dość niesmaczna. Co kraj, to obyczaj.



malowała się groza i niepokój. Kiedy przechodził ulicą, wszystkie szepty milkły, a gdy oddalił się na bezpieczną odległość, wielokrotnie narastały<sup>4</sup>.

Kogut Gacus wrócił do Kutkowa.

Co go tu przywiało? Dlaczego powrócił po tylu latach do miasta swej młodości? Niezbadane są ścieżki Gacusia<sup>5</sup>, można jedynie podejrzewać, że miał on ku temu ważny powód. Z wielką walizką, drewnianą laską i o jednej łapie, przykuśtykał do Werny - tutejszej tawerny - by wynająć w niej pokój. Każdy w Wernie oglądał się za nim i myślał sobie: „Pewnie z tego koguta jakiś rozrabiaka, stały bywalec tawern. Pewno bitny jest - stąd ma złamany dziób. Może pirat? Może za młodu walczył z rekinami, a że impulsywny, to mu rekin odgryzł łapę. Długo już tak musiał chojrakować, takie oczy ma sine, pewnie nie stroni od piwa i wódki. Przez takich właśnie wyrzutek boję się chodzić po ulicach po zmroku. Czego on tu w ogóle szuka? Guza? Albo może jest to po prostu dziad, który na stare lata postanowił powrócić w rodzinne strony? Całe życie spędził na ulicy, niezdolny do funkcjonowania w społeczeństwie, przez brak nogi. Pewnie nie ma nawet pieniędzy na opłacenie łóżka w Wernie. Co on tu w ogóle robi, ten stary kaleka? Zabiera miejsce zdrowym, pracującym obywatelom. Teraz jest nasza kolej do życia.”

Tak oto wywiązała się bójka w Wernie. Wszyscy na Gacusia. Latały kufle i butle, krzesła i stoły, talerze i sztucce, a w końcu i pijaniutcy awanturnicy. Parę minut później jedynymi przytomnymi postaciami w tawernie był Gacus, ukryci pod stołem Kutka i Kluczyk oraz schowany pod barem barman. Reszta leżała nieprzytomna lub wyszła z tawerny. W takich właśnie okolicznościach się zapoznali<sup>6</sup>.

Fakt, Gacus miał sine oczy, ale to dlatego, że musiał wiele dni podróżować bez przerwy, by dotrzeć jak najszybciej do Kutkowa. Fakt, miał złamany dziób, ale to przez to, że natknął się po drodze na bandę dzieciaków, które liczyły na łatwy łup, okradając Gacka. Dały mu w dziób, biorąc go z zaskoczenia, jednak nielot nie dał za wygraną, rewanzując im się z nawiązką. Do teraz żałują, że kiedykolwiek ubliżyli Gacusiowi. Fakt, Kogut nie miał jednej łapki, ale to z powodu choroby, którą miał od urodzenia. Nauczył się jednak z nią żyć i pod żadnym względem nie odstawał od standardów sprawnościowych narzuconych przez społeczeństwo.

- Jaki piękny ogon! - powiedziała Kłódka, kiedy tylko Gacus zaczął się zbliżać w ich stronę. Wtedy już wiedział, że trafił na właściwe zwierzę i element metalowy. Ogon Koguta był niewątpliwie zjawiskowy, Kutka się nie myliła. Nikt, kto by go zobaczył, nie miałby odmiennego zdania. Był cały kolorowy, każde pióro miało inną barwę, a razem tworzyły piękną mozaikę, od której trudno oderwać wzrok. Jedynym problemem ogona było to, że nikt go nie zauważał.

---

<sup>4</sup> Jest to udowodnione naukowo. A zrobił to pewien mądry człowiek wyposażony w Plotkometr - istny kamień milowy w świecie nauki i socjologii. Krążą plotki o owym naukowcu, że nie zniósł on presji społecznej i zbiegł z miasta w środku nocy, zostawiając w Kutkowie cały swój dobytek, po czym zamieszkał w niewielkiej chatce w środku lasu, daleko od cywilizacji.

<sup>5</sup> I to nie dlatego, że gleba, po której się porusza, nie została poddana badaniom i analizom. Miał on po prostu talent do znajdowania się w miejscach, do których pozornie nikt nie zdołałby dojść tradycyjnymi metodami.

<sup>6</sup> Oczywiście nie mówi tu nikt o barmanie, który ukradkiem wyczołgał się z Werny przez zaplecze. Nikt go już w Kutkowie więcej nie widział.

Jedyne, co widzieli ludzie, to była drewniana laska, złamany dziób i sine oczy. Nikt się nie silił, by spojrzeć dalej, w głąb. Na fascynujący ogon.

Zacząli rozmawiać. Siedzieli w Wernie, aż do momentu, kiedy barman z następnej zmiany nie przyszedł i ich nie wygonił. Tego dnia Kluczyk w pełni uświadomił sobie, że społeczeństwo jest niemiłe. Do tego bardzo często bezpodstawnie. Można by powiedzieć, że to właśnie ta wiedza pomogła mu w wyjściu z psychicznego dołka, jednak ja bym skłaniał się do innej odpowiedzi.

Od tamtego dnia całe miasto gadało o Gacusiu, zamiast o nim<sup>7</sup>, więc mógł w końcu zaznać spokoju. Nawet jeśli wiesz, że niebo jest niebieskie, lepiej, kiedy ludzie wokół się z tobą zgadzają, a nie twierdzą, że zielone.

Gacusz nie opowiadał wiele o swojej przeszłości, wiadomym jednak było, że nie był to jego pierwszy raz w Kutkowie. Wiele lat temu mieszkał w niewielkim domu w centrum miasta, który teraz był w nie najlepszym stanie - a mówiąc nie najlepszym, mam na myśli potłuczone okna, zarwany dach i zarośnięte ściany. Zupełnie jakby czas przyspieszył w tym miejscu, chcąc się tego domu pozbyć jak najszybciej. Była to rzecz o tyle niekomfortowa, że Gacusz nie miał dachu nad głową<sup>8</sup>. Kogut jednak nie został na lodzie.

Kutka miała własny dom, w końcu jako twarz Kutkowa, zarabiała niemało i mogła sobie na taki zakup pozwolić. Był on spory, więc nie było żadnego problemu, by przygarnąć zbłąkanego Gacusia. Tak oto sprowadziła kłopoty na samą siebie, a ich sprawcą był pośrednio właśnie Kogut w niedoli.

Wieści bardzo szybko się rozchodzą, a szczególnie wieści tak palące, jak miejsce zamieszkania odwiecznego wroga<sup>9</sup>. Niewiele było trzeba, by furiaci z Werny zaczęli się zbierać pod domem Kutki, żądając zemsty na Gacku. Napięcie rosło godzina za godziną, wprost proporcjonalnie do liczby mieszkańców wokół twierdzy skrywającej Koguta. Kiedy po całym dniu z domu nie wyszedł nikt, wieśniaków zebrała się chmara, która wypełniała całe podwórk.

Po kilku dniach oblężenia, w czterech ścianach Kłódki zaczęło brakować pożywienia. Potrzebny był plan, by albo jakoś ludzi wygnąć, albo zdobyć prowiant na przeżycie paru kolejnych dni. Z każdą chwilą malała jednak szansa na powodzenie zarówno jednego, jak i drugiego pomysłu. Za oknami malowały się wirujące transparenty z przekreśloną głową Gacka, wulgarnymi hasłami lub wizerunkiem kurczaka z rożna. Mogłoby się wydawać, że sytuacja była skrajnie beznadziejna. I dokładnie taka była. Jak jednak podejrzewacie, ta historia nie może skończyć się dla bohaterów źle. Cóż więc takiego uratowało strapioną parę z opresji? Nie kto inny, jak sam Kluczyk! Kto by się spodziewał...

---

<sup>7</sup> Wszyscy chyba wiedzą, że świat jest pamiętliwy tylko do tego czasu, aż znajdzie coś nowego do pamiętania.

<sup>8</sup> Po incydencie w Wernie Gacusz nie miał do niej wstępu, do tego jeszcze zażądano od Koguta odszkodowania za szkody, które wyrządził podczas walki na śmierć i życie z tamtejszymi nieprzyjemniczkami. Na wszelkie jego próby obrony zarząd Werny odpowiadał słowami: „A właśnie, że nie!” Trudno więc było o wygraną Gacka w tej sprawie.

<sup>9</sup> Właściwie to odygodniowego. Po upokorzeniu ich w Wernie, pijaczki potrzebowały właśnie około siedmiu dni na zlokalizowanie Gacusia, którzy od tamtej chwili zostali jego Nemezis.

Było to popołudnie, kiedy Koń stanął za rozwścieczonym tłumem i jął ryczeć wniebogłosy. Bardzo szybko przekonał się, że jeden, choćby i jurny, koń, nie przebije się przez wrzaski hordy niemot. A tyle się do tego przygotowywał... taką ułożył mowę do tych pustaków. Wszystko na nic. Jak mógł tak naiwnie pomyśleć, że on jeden, Koń Kluczyk, jest w stanie zmienić Kutkowo? Głupi. Zupełnie jak dziecko. Chyba jednak niebo jest zielone.

Wpatrywał się jeszcze chwilę z tłum, po czym pokłusował do siebie, ukrywając łyzy bezsilności. System go oszukał i znieważył. Nie jest nawet w stanie pomóc własnym przyjaciółom, kiedy go potrzebują. Bezużyteczny - myślał w kółko - bezsensowny.

Pomyśleć tylko - jak krucha była jego pewność siebie, jaka podatna na choćby lekki wiaterek. Pomyśleć tylko - jak łatwo pękła z byle błahostki. Płakał długo, sam nie pamięta ile, wszystko mu się jakoś rozmyło.

Wtedy się ocknął. W szpitalu, w masce ułatwiającej oddychanie, w kompletnej dezorientacji. Koło jego łóżka siedzieli Kutka i Gacus. Jak się wydostali z domu? Burmistrz miasta, zobaczywszy uciekającego Kluczyka, udał się w kierunku, z którego przybiegł. Kiedy znalazł się na miejscu, kazał się wszystkim rozejść i po pięciu minutach na podwórzu nie było już żadnego z buntowników.

- Już wszystko dobrze - powiedziała Kutka, podchodząc do Kluczyka - już po kłopotcie.

Koń tylko na nich patrzył z przerażeniem w oczach. Bał się samego siebie. Wiedział, co się stało. Gdyby przyjaciele nie przyszli w porę, nie byłoby go tutaj. Zawiódł ich, zawiódł samego siebie. Widać było po ich twarzach, że byli zmartwieni. Jest dla nich ciężarem - tak to właśnie czuł.

Wtedy spojrzął kątem oka na błyszczący ogon Gacka i momentalnie poczuł spokój. Patrzył na niego zahipnotyzowany, gdy nagle w jego głowie pojawiła się szalona myśl. „A co jeżeli nie mam racji?” Może tak naprawdę jest koniem godnym pochwały? Może jednak jest coś wart? Może jednak wszystko jest z nim w porządku. Może gdzieś w głębi siebie też ma taki ogon. Czy to może być prawda? Czy przez cały ten czas, katując się, znieważając samego siebie, ubliżając sobie, popełniał błąd? Może warto spróbować innego życia? Może to moment, by pokochać samego siebie?

Poczynając od tego dnia, Koń próbował żyć w zgodzie ze sobą, być szczęśliwym i nie przejmować się opiniami innych. Oczywiście, miewał lepsze i gorsze dni. Oczywiście, czasem miał dość swojego życia. Oczywiście, wieczorami szlochał do poduszki. Jednak nie to jest ważne - ważne jest dążenie do szczęścia, starania, jakie podejmujesz w walce o radość.

Po dziś dzień zawsze mi powtarza: „Pamiętaj, zawsze szukaj tego ślicznego ogona w sobie i u innych.” Raz zapytałem go, o jakim ogonie mówi. Wtedy opowiedział mi historię o jego starym przyjacielu Gacusiu i starej przyjaciółce Kutce, o tym jak się poznali, o Wernie, o oblężeniu, o szpitalu. Potem opowiedział kolejną i kolejną, i kolejną historię sprzed lat, aż nastał świt. Wtedy obiecał mi, że kiedyś mnie tam zabierze.

Do Kutkowa.